

# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 2

Katowice, 17-go stycznia

1932

## Na niedzielę drugą po Trzech Królach.

### Ewangelja

zapisana u św. Jana rozdz. 2, w. 1—11.

W on czas: Odbywały się w Kanie galilejskiej gody weselne, i była tam Matka Jezusowa. Zaproszono też na gody i Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, Matka Jezusowa rzecze do Niego: Wina nie mają. Jezus zaś odpowiada Jej: Mnie to zostaw, Nie-wiaśto; nie nadeszłaż jeszcze godzina moja? Mówi tedy Matka Jego do sług: Zróbcie, cokolwiek wam polecę. A stało tam sześć stągwi kamiennych dla obrzędowych obmywań żydowskich; każda z nich zawierała po dwa lub po trzy wiadra. Jezus mówi do nich: Napełnijcie stągwie wodą. — I napełnili je aż po brzegi. Jezus tedy rzecze im: Zacerpniście teraz, i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A kiedy gospodarz wesela skosztował wody, przemienionej w wino, — a nie wiedział, skądby się wzięło, wiedzieli zaś słudzy, co wodę czerpali, — odzywa się do pana młodego gospodarz wesela, i mówi doń: Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero, gdy sobie podpiją; ty zaś dobre wino zachowałeś na sam koniec! Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie galilejskiej, i objawił chwałę swoją, — i uwierzyli weń uczniowie Jego.

### Nauka.

Zbawiciela widzimy wśród gości zgromadzonych na ucztę weselną. Widok ten w pierwszej chwili budzi w nas zdziwienie. Jakże trudno bowiem nam pogodzić się z myślą, że Pan Jezus w tak pospolitej, czysto doczesnej uczestniczy sprawie, jaką niewątpliwie są gody weselne!

Lecz krótkie już zastanowienie pouczy nas o czym innym!

Pan Jezus łączy się z gośćmi weselnymi, albowiem chce „wam we wszystkim być podobnym prócz grzechu“. Gody małżeńskie, radość rodziny weselnej pragnie uświęcić Swoją obecnością w Kanie. W podobny sposób pragnąłby Pan Jezus, „On, który przeszedł przez świat“, t. z. On, który zna życie, uszlachetnić i uświęcić każdą godziwą rozrywkę, każdą uczciwą zabawę naszą.

Przedewszystkiem zaś pragnie uświęcić i uszlachetnić w Kanie Galilejskiej małżeństwo czyli związek ślubny nowożeńców. Chce Pan Jezus małżeństwo podnieść z poniżenia, w jakim się u Żydów znalazło, do wyżyn rzeczy świętej, do godności Sakramentu. Ustanowione przez Boga już w raju, małżeństwo, jako związek oparty na nierozzerwalności i jedności, sponiewierane zostało przez namiętności i ułomności ludzkie. Dopiero Chrystus Pan przywraca małżeństwu znaczenie pierwotne i przyobleka je ponadto w godność Sakramentu.

Powinniście sobie zatem małżonkowie chrześcijańscy uświadomić, że wiąże Was nie miłość tylko i przywiązanie, lecz przedewszystkiem przysięga sakramentalna, uroczyście złożona przed ołtarzem w obliczu Boga! Łaska sakramentalna zapewnia Wam pomoc Boga w godziwym spójzyciu i w spełnianiu trudnych obowiązków wychowania potomstwa. Małżeństwo Wasze jest owym narzędziem, którem się Bóg posługuje, by utrwalić rodzaj ludzki na ziemi. Świętość Sakramentu przyjętego zakazuje nam **Katolikom nawet myśli o rozwodzie**. Zabrania surowo sprzeniewierzać się celowi małżeństwa a nakazuje z myślą o strasznej odpowiedzialności przed Sędzią Bogiem Sprawiedliwym, — a także z myślą o wielkiej niezmiernej nagrodzie, która Was czeka, — ponosić obojętnie i ciężary stanu małżeńskiego. Amen.

## Jaki święty patronem twego zawodu?

Cieśle: św. Józef; — św. Tomasz, Apostół.  
Drwale: św. Wolfgang, Biskup Ratyzbony, zm. 994.  
Garncarze: św. Goar, Kapłan i Pustelnik z Trewiru, zm. ok. 580 r.  
Górnicy: św. Barbara, Męczennica, um. ok. r. 300.  
Kamieniarze: św. Reimold, Zakonnik z Kolonii.  
Kościołni: św. Gwidon, Wyznawca z Anderlech, zm. 1012.  
Kotlarze: św. Wit, Męczennik na Sycylii, ok. r. 300.  
Kowale: św. Eligiusz, Biskup z Noyons, zm. 659 r.  
Krawcy: św. Jan Chrzyciel; św. Gutman. Wyznawca, ok. r. 1200.  
Księgarze: św. Jan od Boga, Wyznawca i Zakonnik, zm. 1550.  
Lekarze: św. Pantaleon, Męczennik z Nikomedji, um. 305 r.

Malarze: św. Łazarz, Zakonnik i Męczennik z Konstantynopola, w IX wieku; św. Łukasz, Ewangelista.  
Misjonarze: św. Franciszek Ksawery, Jezuita, zm. 1552 r.  
Miernicy: św. Tomasz Apostół.  
Młynarze: św. Werena, Pustelnica, zm. w Zurzach (Szwajcaria) w IV wieku.  
Muzycy: św. Cecylja, Męczennica, um. ok. r. 180.  
Myśliwi: św. Eustachy, Męczennik, um. 119 r.; św. Hubert, Biskup z Lüttich, zm. 727 r.  
Ogrodnicy: św. Dorota, Męczennica, um. 303 r.; św. Fiakrjusz, Pustelnik z Breuil pod Meaux, w VII w.  
Pasterze: św. Wendelin, Opat z VII wieku.  
Piekarze: św. Anna, Matka N. Marji Panny; św. Mikołaj, Biskup z Myry, zm. 342 r.; św. Honorat, Biskup z Amiens, VI wiek.

Płatnerze (fabrykanci zbroi): św. Wilhelm, ob. blacharze.

Podróżni: św. Jerzy, Męczennik, um. ok. r. 300; św. Juljan Hospitator, Pustelnik, IX w.

Pokutujący: św. Marja Magdalena, Pokutnica, św. Małgorzata, z Cortony, Franciszkanka, zm. 1297 r.

Położnice: św. Małgorzata, Męczennica um. ok. r. 300.

Praczkі: św. Hunna, Matrona.

Prawnicy: św. Iwo, Biskup bretoński, zm. 1303.

Rolnicy: św. Walpurgis, Opatka zm. 780 r.; św. Wendelin, Opat z VII wieku.

Rycerze: św. Jerzy, Męczennik, um. około 300 r.

Siodlarze: św. Gualfardus, Pustelnik z Werony, zm. 1027.

Skazańcy (na śmierć) św. Dyzma, Dobry Łotr.

Ślusarze: św. Eligjusz, ob. kowale.

Śłużące: św. Zyta, Panna z Lukki (Lucca), zm. 1272

św. Notburga — św. Bładyna, Męczennica w Lionie 177 r.

Spowiednicy: św. Jan Nepomucen, Kapłan i Męczennik z Pragi. um. 1383 r.

Strzelcy: św. Sebastjan, Męczennik z Narbonne, ok. 300 r.

Sukiennicy: św. Sewer, Biskup z Rawenny, zm. 390 r.

Szewcy: św. Kryspin i Kryspinjan, Męczennicy z Galji, um. 287 r.; św. Teobald Wyznawca, zm. 1150 r.

Szpitalnicy: św. Jerzy, Męczennik, um. ok. r. 300; — św. Juljan, ob. podróżni.

Tkacze: św. Kryspin i Kryspinjan, ob. szewcy; — św. Sewer, ob. sukiennicy; — św. Seweryn. Biskup i Opat, zm. ok. 482.

Weterynarze: św. Eligjusz, ob. kowale.

Więźniowie: św. Bernard z Limoges, Pustelnik.

Winiarze: św. Urban, Papież, um. 230 r. — św. Urban z Langres, Biskup z V wieku.

Żebracy: św. Aleksy, Wyznawca, zm. ok. 400 r.

Żeglarze: św. Brendanus (Brandon), Opat irlandzki z VII wieku; — św. Krzysztof, Pustelnik.

Złotnicy: św. Dunstan, Biskup z Canterbury. zm. 988 r.; św. Bernard, Biskup, zm. 1022 r. św. Eligjusz, ob. kowale.

Żołnierze: św. Sebastjan, ob. strzelcy; — św. Michał, Archanioł.

## Błogie skutki dobrego natchnienia.

Było to jakoś na początku lata 185... roku we wsi Kadzidłach, w powiecie ostrołęckim leżącej, gromady pobożnego ludu dążyły na odpust, poczciwe twarze dzielnych Kurpiów jaśniały zdrowiem i pogodą, a w ich półgłosnych rozmowach przebijała prawdziwa pobożność i skrucha, z jaką gotowali się do wstąpienia w progi świątyni, którą już tak blisko widzieli przed sobą. Lecz oczy pobożnych przechodniów, z słusznym oburzeniem zwracały się często na jedną z chałup, która lubo najbliżej kościoła, przedstawiała gorszący obraz bezbożności i zaniedbania. Na progu tej chaty, odznaczającej się brudem i nieczystością, siedziała młoda wieśniaczka nie umyta i nie wyczesana, pomimo dnia świątecznego, trzymając na ręku dzieciątko tak blade i mizerne, że sama jego postać mogła pobudzić do litości najtwardsze serca; nieco dalej ośmioletnia dziewczeczka, również brudna i obszarpana, zbierała w podarty fartuch wyrosłą lebiędę, a spory chłopak, wyciągnawszy się niedbale na miedzy, nie zwracał bynajmniej uwagi na pasącą się krówkę, która korzystając z niebaczości swego dozorczy, już dobrze od kwadransa ogryzała ze smakiem zagon owsa, posiany za chałupą.

— A lotrze! hultaju! dam ja tu tobie wylegać się po trawie! — ozwał się groźny głos z poza płota i w jednej chwili, grad kijów sypnął się na plecy biednego śpiocha.

Chłopak zerwał się z płaczem i poskoczył za krową, a człowiek, który go tak srogo powitał z kłatwą na ustach, postąpił ku chałupie.

— No, Małgorzato! — odezwał się groźnym tonem do siedzącej na progu kobiety, — dawaj jeść prędko, bo głodny jestem djabelnie, w Ostrołęce nie zastałem Jankła i próżno latałem ten kawał drogi.

— Jeść! — odrzekła smutnie kobieta — zaraz ci ugotuję. — Magda! — zawołała na dziewczynę, zbierając lebiędę — pójdz wziąć dziecko.

Posłuszna Magda zbliżyła się do matki, która oddawszy jej śpiące dziecko, weszła do izby celem zgotowania mężowi obiecanego posiłku. Ale upływa chwila za chwilą, a o upragnionem jadle ani słychać, tak długie oczekiwanie zniecierpliwiło wkrótce zgłodniałego wieśniaka, porwał się z ławki i gniewnie wpadł do chałupy.

— No, i kiedyż tam uwarzysz to zakłete jedzenie? — zapytał znowu Małgorzaty, która właśnie odstawiała garnek od ognia.

— Jedzenie już dawno gotowe, szukam tylko soli, aby ci je przyrządzić — odrzekła zakłopotana kobieta — pośle chyba do włodarki, żeby mi pożyczyla, ale gdzie jej tam teraz szukać; wszyscy w kościele — dodała z westchnieniem, spuszcżając głowę.

— To już dawaj choć i bez soli — odparł żywo niecierpliwy wieśniak i usiadłszy przy koślawym stole, zaczął prędko pożywać tę niesmaczną i niezdrową strawę, którą żona przed nim postawiła, przeklinając swoją nędzę, tym sposobem bowiem chciał zapomnieć, że on sam przez haniebny nałóg pijaństwa i lenistwa stał się sprawcą niedoli, co go tak okropnie gnębiła; potem nie patrząc już ani na żonę, ani na nędzne i obdarte swe dzieci, wybiegł z izby, nasunawszy czapkę na głowę, nie wiedząc sam dokąd idzie.

Rozpacz tak odjęła przytomność naszemu Wojciechowi, że nie spostrzegł się zupełnie jak stanął przed kościołem, skąd doszedł do jego uszu poważny harmonijny ton organów i uroczysty głos pieśni modlącego się ludu. Na ten odgłos dziwnie zakołatało serce naszego chłopka, jakaś niepohamowana siła ciągnęła go gwałtem do świątyni, aby łzawy głos swej modlitwy złączyć z głosem współbraci, lecz opamiętał się wkrótce, a spojrzawszy na swoją zniszczoną odzież, smutnie zawrócił się przeciwną drogą. Ale siła dobrego natchnienia raz przemówiwszy do jego serca, nie przestawała doń

kołatać głosem religji, zwyciężywszy zatem przeciwną moc fałszywego wstydu, ze spuszczeniem czołem przeszedł cementarz i dziwnie wzruszony, ukląkł w najciemniejszym kątku przy drzwiach kościoła. W tem umilkły pobożne pienia, ucichł głos organów, a wśród tej uroczystej ciszy, zacny powszechnie kapłan z miasteczka Ostrołeki, wstąpił na ambonę i miłym poważnym głosem odczytawszy na ten dzień przypadającą Ewangelię, przemówił do zgromadzonego ludu. Głównym przedmiotem jego mowy była wstrzeźliwość, która od niedawnego czasu, zaczęła szerzyć błogie swoje wpływy w tamtej części kraju; mowa ta była krótka i zwięzła, lecz słowa jej płynące z serca przejętego miłością bratnią ludzkości pełne Ducha Świętego, wiary i nadziei, trafiały z takim przekonaniem do serc słuchaczy, że cały kościół rozlegał się płaczem, a w każdym umyśle powstał zba wienny zamiar wyrzeczenia się tak szkodliwie wpływającego na duszę i ciało napoju; a kiedy zacny pasterz imieniem Boga począł wzywać najzawziętszych grzeszników do pokuty, obiecując im, że w Nim znajdą nie surowego sędziego, lecz miłosiernego ojca, który w każdej chwili gotów jest przyjąć zbłąkane dziaiki, powstał taki zapal między zgromadzonymi, iż w tej chwili nie było ani jednego, coby chętnie najsurowszą pokutą nie pragnął zatrzeć popełnionych grzechów.

W tej liczbie słusznie można było policzyć teraz naszego Wojciecha poznawszy cały ogrom swoich błędów, uznał się winnym zguby wiszącej nad losem swej rodziny, i ukorzywszy się w prochu

przed Bogiem, wyprzysiągł się uroczyście dawnych nałogów, błagając go o pomoc w swem terazniejszym położeniu. I nie próżną była modlitwa nawróconego grzesznika, co natychmiast dało się spostrzec po nabożeństwie, poczcwi bowiem mieszkańcy tej samej wioski co dotąd przywykli widzieć jedynie Wojciecha w karczmie lub na jarmarku, spostrzegłszy w nim taką skrucę gdy im się w poufnej rozmowie zwierzył ze swemi kłopotami, nie odmówili mu rady i pomocy, odtąd pomoc Boska i ludzka towarzyszyła wszystkim jego czynom. W ślad za trzeźwością i pracą dostatek wstąpił do chaty wieśniaka, a czytelnicy, którzy na początku tej powieści widzieli ją w takim zaniedbaniu, ujrzeliby ją teraz, gdyby ich los powiódł w tamte strony, zupełnie w odmiennym stanie; ogród otoczony nowym płotem, nie zarasta jak dawniej lebiodą, lecz pięknem warzywem, wśród którego gdzieniegdzie połyskują czerwone maki lub żółte nagietki przedmioty troskliwości Magdusi, córki gospodarza; ładne stadko bydełka pasie się bezpiecznie na pobliskiej łące pod baczem okiem Wojtusia, co podobnie jak i jego ojciec porzucił dawną gnuśność. a jasne słoneczko Boże mile zagląda przez szyby do schludnej izby, gdzie Małgorzata, patrząc z radością na skoki najmłodszego dziecięcia, gotuje posilną i smaczną strawę dla całej rodziny, która do tego czasu błogosławić nie przestaje, błogim skutkiem dobrego natchnienia, co w najstraszniejszej chwili upadku wstrzymała nieszczęśliwego Wojciecha od podwójnej zguby.

## Opowiadanie dziadka.

Szliśmy z dziadkiem do kościoła. Mineliśmy już wieś. Na prawo widać było pole obsiane ozimną, a dalej cudnie pachnący sosnowy las. Na lewo była droga okopana rowami i osadzona topołami, wiodąca do folwarku, którego białe budynki zdaleka lśniły w słońcu. Słońce świeciło wesoło, rzucając na ziemię swe cudne promienie, to znowu odbijając się w kropkach rosy, czyniły całą łąkę jakby wysadzaną drogimi kamieniami. Lekki wietrzyk, powiewając delikatnie, przynosił od strony lasu przyjemny zapach żywiczny i najprzyjemniejsze melodie śpiewaków leśnych. Wysoko nad nami skowronki cięły swe kuranty, a niżej od czasu do czasu brzęczały skrzydełka pszczoły. Ja zachwycony pięknnością okolicy, oślepiiony blaskiem słońca, ogłuszony śpiewem ptactwa, szedłem obok dziadka, nie śmiejąc słowa przemówić.

Postępowaliśmy dalej ścieżką ponad rowem, aż do kamienia. Ten kamień leżał sobie w tem miejscu, gdzie ścieżki rozchodziły się w dwie strony. Jedna z nich wiodła prosto do folwarku, a druga do drogi, zwanej kościelną.

Zbliżywszy się do owego kamienia, — dziadek zdjął czapkę, przeżegnał się i zaczął półgłosem mówić pacierz. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale gdy dziadek począł mówić: wieczny odpoczynek — zrozumiałem, że to modlitwa za dusze zmarłych, więc spytałem:

— Dziadku, a za kogo się modlicie?

— O! ty go nie znasz, ale siadaj tu oto na ziemi, to ci powiem.

Dziadek usiadł na kamieniu, zażył tabaki i tak opowiadać zaczął wnukowi:

— Za dawnych lat, jeszcze za pańszczyzny, to tu we dworze mieli takie wielkie psy, jak cieleta. Ale to już dawno. Ja wtedy byłem sołtysem, jak teraz pan Leon. A wiesz ty, w której chałupie Murawski siedzi?

— Wiem, dziadku.

— To też widzisz, w tej chałupie siedział wtedy Chmiel; chłop młody, zdrowy, ale lajdak; robić mu się nie chciało, grunt rzucił, koniska sprzedał, groszowiznę przepił. Miał dwie krowiny; jedną zarznął i wtedy już „cały pan“, jadł mięso w świątek i piątek. Chciał go kto do młocki nająć, to nie chciał.

— Co? — powiada — może chceta, żebyś za piętnaście groszy się mordował?

No i siedział w karczmie. Ja mu nieraz gadałem:

— Ej, Szymon, zastanów się! Czy ty myślisz, że to nie grzech tak robić?

— Co wy tam oto — powiada; — chce wam się pracować, jak wół, to se pracujcie, a mnie dajcie święty spokój, ja lepszy pan niż wy!

— No, bądź se tam lepszy, ale pamiętaj, że cię Pan Bóg skarże! . . . Nic nie nadało. Siedział co dzień w karczmie. Ale przyszła jesień: a tu coraz to komu co zgimie; to temu owca, to tamtemu prosię, to worek kartofli. Wiadomo, kto kradnie! . . .

A no nikt inny, tylko Chmiel. Ale cóż? Ludzie galdali, pilnowali, ale nikt go nie złapał.

Potem już zaczęło i po innych wsiach ginać, a nietylko owce i prosięta, ale konie i woły. Ale wtedy zima rychtyk taka była, jak latoś. W poście już było ciepło; a święta żydowskie wypadły w nasz wielki tydzień. Baby we wsi w lament, że nie będą miały dobrych drożdży. Bo wtedy drożdży nie było takich jak teraz, tylko rzadkie, żydzi kupowali z browaru i sprzedawali na kwarty.

Ale ja rozmawiałem z lokajem we dworze, a on powiada:

— Przyjdźcie, sołtysie, w wielki czwartek raniuchno, to dostaniecie drożdży dobrych i świeżych.

— A no dobrze! — To ja wstałem rano, jeszcze było szarawo, wzięłem garnka i hajda do dworu.

Lecę kiele tamtych ono dębów i myślę, że źle!...

Przechodzę kiele drwaini, patrzę, a tu lecą psy! Co ja tu zrobię? Ale złapałem cegłę, jak nie puszcze! Tak jednego rychtyk trafiłem w kark. A ta bestja ani drgnął, cegła sie potoczyła po nim jak po poduszce i zleciała na ziemię. Patrzę zza płota na one psiska, co to? Takie jakieś pokrwawione. Nic innego, tylko coś padło we dworze i wyrzucili psom. Nic mi one psy nie mówią, łasują się, no i poleciały sobie tam het, aż ku lodowni. Tak ja przez płot hyc, i do lokaja. Dobry to był chłopak, dał mi onych drożdży, jeszcze i gorzałki: dwa kieliszki, no i trzeba iść. Ale już nie poszedłem tamtędy kiele drwaini, tylko maszeruję kiele kuźni.

Wyszedłem na tę oto steczkę i ide: nie oglądam się nic, tylko tak uwijam się, aby prędzej, bo jeszcze do kościoła miałem iść. Ale dało mi się spojrzeć na ten kamień, a tu rychtyk w tem miejscu oto coś leży. Ki - palarus? czy bydlę zdechłe, czy co? Podchodzę bliżej, patrzę: człowiek leży, w zielonej kapocie, przy nim worek porozrywany i szufla rozłupana, patrzę twarz powygryzana, tylko kości wiadać i język wygryziony. Tu znowu kapota i koszula porozrywane i dziura w boku wygryziona aż do serca, kiszki rozwleczone po trawie. Ciarki mię przeszły! Co tu robić? Ale lecę nazad do dworu. Przyleciałem kiele studni, patrzę idzie lokaj, tak ja wołam:

— Panie Franciszku! a wasze psy to chłopca zjadły!...

— Chłopa? co? gdzie?

— Ano tam za kuźnią.

— Leży?

— Leży kiele kamieni na steczce.

— Idźwa zobaczyć.

— Ano chodźta!

Zawołał stróża i idziem! Przyśliźwa, popatrzyli, a no leży, zagryziony. Tak lokaj powiada:

— Trudno, sołtysie, postawcie wartę i dajcie znać do wójta.

Ja mówię: — Wiem i sam co mam zrobić, ale kto to może być?

— Musi być jakiś złodziej — powiada stróż — bo ma worek i szuflę.

Ja mówię do stróża:

— Postójcie wy, Józefie, tu, dopóki ja tam kogo ze wsi nie przyślę.

— Ano dobrze — powiada stróż.

Tak ja, szach mach, lecę do wsi. Lecę i myślę, kogoby tu postawić na onej warcie? Ten zły, ten niedobry, ten nieczasowy, ale nałepiej Chmiela. Ten łajdak nic nie robi, ma w karczmie siedzieć, to niech stoi...

Przyleciałem do wsi, patrzę. Chmielowa leci

przez drogę od Sowinej i niesie koszur i łopate, tak, ja wołam na nią.

— Szymonowa! A jest wasz w domu?

— Niema.

— A gdzie?

— Bo ja wiem, jak poszedł wczoraj, tak jeszcze go niema.

— Ba! To może jego psy zjadły. A w czym on poszedł?

— W zielonej kapocie.

— No to nie kto, tylko on leży pode dworem.

Tak jej zaraz łopata wyleciała z garści, zaczęła płakać, no i poleciała oglądać. Zaraz też ze wsi narodu napolatało. Ale nikt go nie żałował, oprócz szynkarza i jego żony. I takie miał święta, chciał widać coś ukraść we dworze, a tymczasem Pan Dóg inaczej dał.

Powstał dziadek z kamienia, ja także i poszliśmy do kościoła. Następnej nocy przyśnił mi się ów Chmiel. Widziałem, jak się skradał do dworskiego śpichlerza. A gdy go psv opadły, począł uciekać, opędzając się workiem i szuflą. Rzucił w staw klucze i wytrychy, a sam uchodził w pole. Tymczasem psy rzucały się nań z coraz większą żarłocznością. Chmiel zaczął walczyć z psami rozpaczliwie. Ale cóż, gdy te szarpały go ze wszystkich stron. Człowiekowi krew upływała, siły go opuszczały, wiec broniąc się zawzięcie, wzywał do obrony najprzód szatanów, potem niektórych Świętych, a nareszcie krzyczał: Ratujcie ludzie, kto w Boga wierzy! — Ale z pomocą nikt me przybywał, bo wszyscy ludzie dobrej woli pogrążeni byli w śnie głębokim. — Ja chcę mu przyjść z pomocą — krzyczałem, ile sił starczyło, aż dziadek zapytał:

— Czego tak wrzeszczysz, smarkaczu?

Przebudziłem się i odparłem:

— A to Chmiela psy zjadają.

— Połóż się i śpij! Wiecej ci się to pewnie nie przyśni. Pamiętaj tylko, żebyś się nigdy nie lenił do roboty i nie wyciągał ręki po cudze, niech cię Bóg zachowa! Bo jak będziesz tak robił, jak Chmiel, to także jak on, marnie zginiesz!...

Słowa dziadka utkwili mi głęboko w pamięci, i dziś pomimo, że upłynęło lat kilkanaście, jak je slyszalem, pomimo, że los przerzucił mnie ze wsi do miasta, pomimo, że widzialem już wiele złego i dobrego, te słowa zawsze stoją mi w pamięci.

## Falszywy przyjaciel.

W sobotni wieczór rojno i gwarno w podmiejskim szynku. Weseli się dobrana kompanijka, ze łbów się kurzy, a nogi się płaczą. Jednych trunek do łez rozczula, innych do złości pobudza. Ale pódź ze mną do kryminału, spytaj skazańców, co ich popchnęło do bójki, co im wetknęło nóż w rękę, co z nich zrobiło zbrodniarzy, a niejeden ci odpowie: „gorzałka“.

A jeśli zajrzysz do domu warjatów i zapytasz, co tych nieszczęśników pozbawiło rozumu, to o wielu, bardzo wielu posłyszysz odpowiedź: „to wódka, co im miała życie rozweselić i pocieszyć we frasunku“.

Czy to nie falszywy przyjaciel?

M. K.